

Andrzej Jarosz

Berenike Niczyja

Dziewczyna znikąd

Nadeszła znikąd krawędzią plaży
patrzyła w morze na zachód słońca
krzyczały mewy że cud się zdarzy
że to tęsknota na jawie śniąca

Oczy przejrzyste pełne wołania
urzekające uduchowione
szklące gorączką oczekiwania
chore z miłości w dal zapatrzone

Stała w namiętnych tęsknot urodzie
i przyzywała nie przywołane
i przyszło słońce lśnieniem po wodzie
i zachwycone oczarowane

Musnęło ręką i na ramiona
przez chmur witraże harfą promieni
spadła dziewczynie chusta czerwona
płonące frędzle sięgnęły ziemi

Ulotna zwiewna nieziemska prawie
w purpurze ognia na brzegu stała
sacrum boskości śniące na jawie
w sprofanowanej świątyni ciała

Andrzej Jarosz

Berenike Niczyja

Wydawnictwo Fides
32-800 Brzesko, ul. Leg. Piłsudskiego 29A
fides@fides.info.pl
www.fides.info.pl
ISBN 978-83-907587-6-3
Na okładce obraz Doroty Otulskiej, *Berenike*, własność autora.

Copyright © Andrzej Jarosz,
Wszelkie prawa zastrzeżone.

Berenike Niczyja (fragment)

Nie mogłam sobie znaleźć miejsca w Święto Zmarłych, rzeźbić też nie mogłam. Chodziłam udręczona po mieszkaniu i szukałam dla siebie zmiłowania, i nie mogłam go znaleźć. Dzień się chylił ku nocy pochmurny i ponury, dzień się chylił ku nocy pełen żałosnej skargi, jak wtedy owej jesieni, kiedy znaleziono w lesie powieszonego juhasa.

- Kiedyś za to zapłacisz - powiedział wtedy stary baca.

- Nieeeeeee! - zacisnęłam usta, żeby nie wypuścić krzyku. Chwyciłam uwalany w glinie nóż rzeźbiarski i pocięłam sobie rękę.

Usiadłam na podłodze w pracowni i patrzyłam na skapującą krew, nie chciało mi się wstawać. Purpurowy Zegarmistrz Światła odmierzał do odlotu ostatni czas. Ostatni?

Ziemia nagle zadrżała, zafalowało powietrze, zakołysała się na zamkowym wzgórzu Srebrna Wieża, a po pracowni zaczęły przebiegać piorunowe błyski. Wstrząs się zrodził, gdzieś poza przestrzenią i czasem.

- Stąd te błyskawice ognia? - pomyślałam zalęknięta i przemogłam odrętwienie. Wstałam i przemyłam rany wodą, zabandażowałam.

I chodziłam dalej po mieszkaniu, i szukałam zrozpaczona zmiłowania, i nie mogłam go dla siebie znaleźć. Kilka razy tłukłam głową o ścianę, wyć nie chciałam, żeby nie straszyć babci. A ten cholerny deszcz ciągle padał i padał, padał już tak do zwariowania od wielu dni.

Wieczorem otworzyłam na oścież okno i patrzyłam na zasnute jesienną melancholią miasto. Powietrze za oknem było mokre od zapłakanych wspomnień, w niebo biły łuny cmentarzy i wisiały nad nimi ciężkie, rdzawe chmury, iskrzyło na styku życia i śmierci. Wiatr przynosił specyficzny zapach cmentarnych zniczy.

Zapach wosku, wycie wiatru, obracający się na drzewie juhas, samobójca, pod cmentarnym murem kwitły wtedy fioletowe wrzosy.

- Nieeeeeee! - zawyłam.

A potem wyszłam w ponurą, listopadową noc wichrów, zacinało śniegiem i deszczem, wyszłam i poszłam, nie wiadomo gdzie i dokąd. Tak poszłam, jak stałam, narzuciłam tylko na siebie czerwoną pelerynę, a na nogi ubrałam czerwone lakierki na wysokich obcasach, tak się teraz prowokacyjnie ubierałam. Wysokie obcasy, wysokie obcasy, wysokie obcasy...

Babcia patrzyła za mną ze swojego mieszkania, jakiś cień, jakaś postać tajemnicza stała obok babci za firanką, niesamowita mocą utajoną. Zmaterializowana energia nie z tego świata? Szybko przestałam w tamtą stronę patrzeć.

Stałam przed dworcem kolejowym, szarpana opętańczym wichrem. Wściekłe podmuchy wichury poniewierały po placu strzępy gazet, toczyła się z brzękiem jakaś puszka po konserwach, pies bezpański szukał głodny jedzenia i blado świeciły potopione w kałużach latarnie. Nad dachami domów zawodziło żałośnie, jakby zbłąkane dusze prosiły o jałmużnę. Padał śnieg przemieszany z deszczem i cała byłam przemoczona od jesiennej zawieruchy. Dudniły po wyludnionym dworcu echa bezdomne.

Coś we mnie pękało... Wsiąść do pociągu byle jakiego, nie pytać innych o radę, nie dbać o bagaż, nie dbać o bilet, gdzie przecież w końcu dojadę. Może na niebieskie trasy nie trzeba biletu?

Weszłam i usiadłam na ławce w pustej, dworcowej poczekalni, zdjęłam buty i podkuliłam pod siebie gołe nogi. Od blaszanych kaloryferów biło ożywcze ciepło i położyłam na jednym zziębniętą rękę, serca nie dałam rady. Na dworcowym zegarze przeskoczyła kolejna minuta, dochodziła dwunasta.

- Północ, godzina duchów - pomyślałam.

Siedziałam w półmroku i patrzyłam przez oszkloną ścianę na przesuwające się po torach pociągi, zrzędziły przy hamowaniu marudnie. Słuchałam wwiercającego się w uszy zgrzytu szyn i czekałam podświadomie, kiedy ucichnie zawodząca skarga.

Stanął niespodziewanie w drzwiach poczekalni, patrzył po sali i lustrował wszystko niby obojętnym spojrzeniem. Usiadł naprzeciwko, kiedy mnie zobaczył samotną.

Zarośnięty był, złachmaniały, może miał lat trzydzieści, a może sześćdziesiąt, nie wiadomo, bezdomność równa, sprowadza do parteru śmietnika. Niemiłosiernie śmierdział brudem wieki niemytym.

Przez chwilę siedział spokojnie, a potem wsadził rękę do kieszeni i zaczął to robić.

- Ciekawe, czy ma dziurawą kieszeń? - pomyślałam.

Patrzyłam na niego beznamiętnie. Coraz bardziej zasłuchany w siebie, być może nie zdawał sobie sprawy ze swojego miejsca w czasie i przestrzeni, być może nawet był przez chwilę szczęśliwy. Nędzne szczęście bezdomnego człowieka, namiastka utraconego raju.

Siedział potem oklapły, na wyświechtanych spodniach zaczęła mu się pojawiać mokra plama. Wyciągnął rękę, cała była... No, tak... Jednak miał tę dziurę w kieszeni.

Nawet na niego specjalnie nie patrzyłam, spoglądał zawiedziony, że tylko tak na niego patrzę. Wstałam w końcu i spojrzałam na drzwi wejściowe, jakbym na kogoś czekała, na kogoś kto teraz, zaraz przyjdzie, już idzie. I wtedy on wstał, i wyszedł, i poszedł sobie. I tylko chwiały się jeszcze za nim przez chwilę wahadłowe drzwi.

Siedziałam samotna i w końcu wstałam, bo nie chciałam już tak dłużej siedzieć, i wyszłam podziemnym przejściem na peron... Za dalą w dali znika dal, wciąż za mną więcej czasu schodów, tylko mi smutno, tylko żal, zaklętych szklanych gór, ogrodów. Czas niepowrotną płynie rzeką, łza? zbiera mi się pod powieką?

Chodziłam tam i z powrotem po peronie, czekałam na byle jaki pociąg. Byle jak, byle gdzie, z byle kim.

- Nieeeeeee! - krzyk udręczony, bezwiedny, rozlatywałam się cała, ludzie odsuwali się wystraszeni. Jakiś cień, jakaś tajemnicza postać biegła w moją stronę. Z głośników doleciały niezrozumiałe trzaski, zrozumiałam tylko końcówkę.

- Odjeżdża z toru pierwszego przy peronie drugim, proszę odsunąć się od toru.

Spojrzałam nadlatującemu potworowi prosto w oczy i skoczyłam pomiędzy płonące ślepia.

Zawiodły przeraźliwym jękiem zablokowane koła, zawirowała rozerwana czasoprzestrzeń, niespodziewane zamiecie się zerwały, wichry nieziemskie, przerażeni ludzie krzyczeli. Jakiś cień, jakaś tajemnicza postać obok mnie przebiegła, niesamowita mocą utajoną.

- Nie taka tobie śmierć pisana, nie taka! - usłyszałam w przelocie.

Ludzie potem mówili, że wyrzuciła mnie w powietrze niesamowita siła, że odrzuciła mnie z powrotem z torów na peron.

- Co się pani stało? - pytali. - Co to było? Niech pani nie wstaje! - mówili.

Cóż im miałam powiedzieć?

- Nic mi się nie stało, nie wiem co to było - powiedziałam zgodnie z prawdą, wstając.

- To podmuch tak ją do góry wyrzucił! To podmuch, niesamowite! - mówili, kiedy odchodziłam. - Stała za blisko peronu i to podmuch! - powtarzali w kółko, jakby samych siebie chcieli przekonać.